OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 11 (23) Października 1867 roku.

Nr 43. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

JÓZEF FRAŻE (Fraget).

Rzadko zapewne komu w kraju obce jest nazwisko Frażego, a wyroby jego zapełniają wszystkie świątynie Pańskie, wszystkie domy mniejszej nawet zamożności. Ale czy odrazu one zyskały taki rozgłos i tak pochlebne uznanie? Przyznacie sami czytelnicy, że to mogło się stać tylko skutkiem nieustannej, mozolnej pracy, wytrwałych usiłowań i niezachwianej w ogólnem postępowaniu sumienności. Ztąd sądzę, nie bezowocnym dla was będzie obraz z obfitych łaskawie udzielonych ze źródła materjałów skreślony, który będzie nowym a dobitnym przykładem po wielekroć już w piśmie naszem dowodzonej prawdy, jak wiele może własna pomoc.



Józef Fraget.

Józef Fraże w r. 1824 sprowadzony do Warszawy przez hr. Mostowskiego, ówczesnego ministra Spraw Wewnętrznych, z małemi bardzo zasobami założył fabrykę wyrobów platerowanych, przy ulicy Królewskiej w pałacu Łubieńskich.

Rozwój fabrykacji zwiększeniem środków materjalnych sprawił, że w r. 1844 Fraże swój zakład przeniósł do wzniesionych swoim kosztem w pustym placu przy ulicy Elektoralnej budowli, powiększanych odtąd stosownie do wzrastających potrzeb i udoskonaleń, których to ostatnich dbały o dobro kraju właściciel przy żadnej zręczności nie pomijał, nie bacząc na koszta i liczne przeszkody, któreby nie jednego od zamiaru odstręczyły. Między innemi, pomimo pozornych niezwalczonych prawie trudności, jako na jednym z najwyższych punktów miasta, zaprowadził u siebie pierwszą studnię artezyjską, głęboką stóp 298. Z prostych niewielu z początku machin, liczba ich urosła dzisiaj do 168, poruszanych machiną kondensacyjną parową o sile 20 koni. Ale czegóż bo tam nie ma? 24 żelaznych tokarni, gisernia, modelarnia, 3 heblarnie, wiertarnie, ślusarnia, stolarnia, młoty balansowe i t. d. i t. d. Niektóre z tych fabryk budowane były w części podług własnego pomysłu właściciela, jak np. do wyrabiania sztućców stołowych, których jest w możności wyprodukować dziennie 150 tuzinów; na machinę tę szanowny fabrykant uzyskał patent swobody, ale nie chciał z niego do końca terminu wyłącznie dla siebie korzystać, dopuścił swobodną w tym względzie konkurencję.

Dawniej wszystkie artykuły wyrabiały się tylko na miedzi, dzisiaj na różnych metalach, najwięcej na nowotnem srebrze; dawniej przy spajaniu używano cyny, dzisiaj prawie wszystko lutuje się twar-

do w ogniu sposobem galwanicznym a tak prostym, że przez jedną dobę miedź lub inny prosty metal przybierają wymaganej grubości pozłotę ze srebra lub złota. Przez zaprowadzenie tych zmian, wyroby stały się lżejsze i czystsze, a pomimo tego o 25% staniały w cenie, tak np. parę lichtarzy bogato ozdobnych, które przed kilku jeszcze laty kosztowały rs. 12, obecnie za rs. 9 kupić można.

Nie małej wartości są to zasługi prawdziwie obywatelskie dla kraju, który przez podobny zakład oszczędza wiele kapitałów pochłanianych dawniej po zagranicą, a ileż to rodzin cały swój byt mu zawdzięcza, nie mało także zyskało w nim specjalne wykształcenie. Zakład Frażego nie tylko wiele tego rodzaju zakładów w Europie przewyższył, ale z najpierwszemi z nich stanął do współzawodnictwa, sprzedając obok tego swoje wyroby taniej od zagranicznych.

Takie to są owoce wytrwałej, umiejętnej i sumiennej pracy: bez tych trzech przymiotów nikt stałego bytu dla swojej pracy zapewnić nie zdoła.

Dla dotykalnego nadto przekonania się o wzroście fabryki o której mowa, przytoczmy kilka cyfr zawsze najwymowniej o prawdzie świadczących.

I tak gdy fabryka w r. 1842 zatrudniała robotników, uczniów, pomocników itd. tylko osób 55, było ich w r. 1852 już 151, a w r. 1860 liczba tychże wzrosła do 240.

Co do główniejszych wyrobów surowych wyrobiła fabryka:

W r. 1842 złota szczerego f. $5^7/_8$—srebra szczerego pud. 12 funt. 16—miedzi pudów 237 funt. 35;—w r. 1852: złota szczerego f. $9^1/_2$—srebra szczerego pud. 22 funt. 4 — miedzi pudów 650 funt. 23;—w r. 1860: złota szczerego f. 13—srebra szczerego pud. 34 funt. 25—miedzi pudów 1320.

Wypłaciła fabryka li tylko czeladnikom i innym robotnikom fabrycznym, bez kosztów administracji i utrzymania ogólnego w r. 1842 rsr. 11,948; w r. 1852 rs. 32,681— w r. 1860 rs. 67,064.

Nakoniec co do gotowych wyrobów, lubo ich cena w ciągu czasu o czwartą prawie część zniżoną została, przez co stosunkowo więcej towarów za równe summy produkować trzeba było, fabrykacja wynosiła:

W r. 1842 rs. 59,986; w r. 1852 rs. 127,250; w r. 1862 rs. 212,390.

Wyroby Frażego oprócz Warszawy, mają stałe magazyny w Petersburgu, Moskwie i Charkowie a nadto rozwożone po słynniejszych jarmarkach docierają do odległych nawet zakątków Cesarstwa.

Nie można pominąć milczeniem tej nadto okoliczności, że modele sprowadzane wielkim kosztem z zagranicy albo wyrabiane przez wychowańców samego zakładu, znajdują licznych naśladowców innego rodzaju fabrykantów a przez to rozszerzają ku niezmiernemu pożytkowi ogółu, dobry gust po kraju.

Zakres i zadanie naszego pisma, nie pozwalają wdawać się w bliższe szczegóły zkądinąd ze wszech miar pouczające, dla zaokrąglenia tylko artykułu dodajmy: że Józef Fraget urodził się w m. La Ferté we Francji d. 25 Maja 1797 r., odbywał pracowite studja politechniczne w Paryżu i Berlinie, od r. 1824 osiadł stale w Warszawie, gdzie zmarł dnia 16 Lipca 1867 r. pozostawiając dalsze prowadzenie zakładu swemu synowi.

Oby kraj więcej takich posiadał codzoziemców, którzy pracą i nauką otwierają w nim obfite źródła bogactwa dla pragnących z tego korzystać przybranych swoich współobywateli, którzy nie są podobni do tych samolubnych spekulantów, co to wyjaławiając rolę z ostatniemi wysiłkami, zdobyty plon unoszą co prędzej w swe strony, pozostawiając po sobie przykre wspomnienia.

Aloizy Kuczyński.

ZAPŁATA NIEBIESKA.

PIEŚŃ Z LEGENDY,

napisał

Józef z Mazowsza.

Dedykacja.

DO RUDNI.

Gdy mroźna cisza odwiecznego boru,
Wśród chwil najdłuższych, bo chwil samotności,
Dając za życie myśl, a chęć za gości,
Pogrozi sercu cieniami wieczoru—
Może się wtedy, czuwaniem ukłóty
Duch, z żalem znanych dopomni postaci,
Może na chwilę zwykły hart utraci
I w bolejące rozstroi się rzuty:
— Jakże szczęśliwym będę, jeśli wcześniej
Dojdzie to słowo do ustronia Rudni—
I dźwiękiem szczerym próżnię jej zaludni,
I stłumi smutek w witającej pieśni!

I.

„Nie próżnom zgięty i słaby, [1])
Młota nie ima się ręka,
Wiek coraz ciężej też nęka;
Żyje się tylko już — aby!..
Dobregom stracił sąsiada,
Kobieta również pod ziemią,
Synowie gdzieś tam — daleko;
Na nic się człek już nie nada,
Oczy choć patrzą, to drzemią
Pod ociężałą powieką.
Własna nie żywi mnie gleba
I grosza nie ma w kalecie,
A jednak — jeszcze żyć trzeba,
Gdy Bóg zostawił na świecie:
Zostałem stary sierota!..
— Tęgim się było do młota,
I pracy przeszło nie mało,
Lecz tak się jakoś składało,

---

[1]) Minął bez wątpienia czas przedstawiania przymiotów, wad i własności serca ludzkiego w postaci potworów, smoków, olbrzymów i t. p., *realne* bowiem tło dzisiejszego kształcenia się, radeby jak największą uwydatniać prostotę i skończoność formy; z tego względu ludowe podanie niniejsze, wydawać się może na pozór zagrzęzłem w dziwacznym mistycyzmie. Nie mogę jednak wstrzymać się od przedstawienia tego podania tak jak je znalazłem, ponieważ jest ono poniekąd samodzielnem malowidłem prostaczej fantazji, co już jako pamiątka zasługuje na przechowanie, tem więcej, że kilka myśli tam rzuconych tyczy się prawd codziennego bytu ludowego, w idei poczciwości chrześcijańskiej, a jasne dążenia do *czystego życia*, odbiją się może nawet wydatniej przy dziwaczności i potworności kształtów, w które w tem podaniu odziane są: złośliwość ludzka, upór i niezgoda, pijaństwo trapiące lud karczemnemi pohulankami i dumna niewiara. Jeden nawet z tych obrazów to jest bitwa kozłów, jest poniekąd świadectwem, że i nasz lud miewa szersze poglądy, które możnaby nazwać powszechno-społecznemi, że i on także zamyśla się nad powszechnem ścieraniem się i walką stworzeń na ziemi, co wzniosłym przejmuje go smutkiem. *J. z M.*

Że wszystko darmo — wesoło...
Całe kochało mnie sioło.
I lubo było człekowi,
Gdy za robotę ktoś powie:
,,Bóg zapłać"—lubo młodości,
Gdy miała pracę i gości.
Dziś nie ma starca w tem kółku:
Mamże więc prosić przytułku
Za ich — ,,Bóg zapłać?" Czyż po to
Z takąm pracował ochotą,
Bym z poszarpanej siermięgi
Wyciągał ręce włóczęgi!
O nie, — dostanę zapłatę,
Dostanę dary bogate.
I dzień i noc mi się marzy
Jakaś twarz jakby z ołtarzy,
Jakieś łagodne, cierpiące,
Jakby Jezusa oblicze,
I mówi: ,,Ja to policzę,
Ile Bóg zapłać ci dano,
Nie minie ciebie twe wiano."
— Coś mi zapłatę już wróży;
A noga chociaż stężała,
Jak gdyby naprzód iść chciała;
Jeszcze sprobuję podróży.
Jezus—pan biednej prostoty,
On za ,,Bóg zapłać" zapłaci
I to, co zbrakło od braci,
On da dla starca—sieroty..."

II.

Tak stary kowal się troska
A wciąż go nęci myśl boska. —
Lecz gdzie i kędy iść trzeba;
Któż drogę wskaże do Nieba?
Żal mu też trochę sąsiadów;
Żal mu dziateczek i wioski,
Znajomych babek i dziadów;
Lipy, leszczyny i brzoski!
Nie poszedł — zasnął, a we śnie
Westchnął tak ciężko, boleśnie,
Jak gdyby męki żywota
Zebrał kto w wielki raz młota
I spuścił na pierś sędziwą...
Więc jak mógł zerwał się żywo:
Serce mu wyjścia zabrania,
Lecz głód go z domu wygania,
Bo nic już nie miał w swej chacie.
Wtedy zawołał: ,,Czas bracie!"
— Miał młot i stare kowadło,
Zbył to i co wypadło;
Krzyża uzbroił się znakiem
I krótszym ruszył w świat szlakiem,
Lecz jakoś drogi nie skraca,
Bo jeszcze w wioskę nawraca.
— Z przyjaźnią w oku świetlanem,
Wybiegło dziewczę ze dzbanem,
(Bo było w wiosce wrzekomo
O celu starca wiadomo)—
I z szybszem biciem serduszka
Żałośnie spyta staruszka:
,,Dokądże od nas? czy z nami
Już się dziaduniu sprzykrzyło?
Jesteście słabi i sami;
Zostańcie... z wami tak miło!
Po co wam podróż daleka?
Co dzień przyniosę wam mleka,
Co dzień brat mały się dowie
O podwieczorek i zdrowie."
Zadrżał sędziwy, lecz próżno,
Bo nic go w drodze nie wstrzyma,
Nawet i córa rodzima;
Potrząsnął sakwą podróżną
I rzekł: ,,Rozkwitaj szczęśliwa,
Córko serdeczna tej strzechy,
Rośnij dla ojców pociechy,
Ja muszę.. tam mnie ktoś wzywa"..
— Kiedy znów przez wieś szedł dalej,
Sąsiedzi jeszcze tam spali;
Tylko pastuszek maleńki
Starczej uczepił się ręki
I z rzewnym wracał go płaczem.
,,Ach dziecię, my się zobaczem...
Teraz iść muszę! Wróciwszy,
Będę daleko szczęśliwszy
I pożyjemy znów razem."
Tym starzec żegnał wyrazem
Lube i biedne pacholę,
Jednakie były ich dole:
Obaj sieroty... A w dali
Jaśniał mu ciągle sen boski—
Coraz powabniej, wspanialej!
Przyszedł do granic swej wioski:
Brzozka boleśnie szeleści,
Znajoma wabi i pieści...
Padł na kolana, rękami
Objął pień biały drzewiny,
W nieznane dążąc krainy
I z drzewkiem żegnał się łzami.
Lecz wstał i poszedł gdzie czeka
Niebieska jego zapłata:
Dąkąd i kędy? W kraj świata,
Tam, gdzie dojść może duch człeka.

III.

Jak szedł i co go spotkało,
Ujrzycie wkrótce rzecz całą,
Dość, że po wielkiej podróży,
Gdy nie mógł starzec iść dłużej,
Napotkał kamień; — w około
Tak pięknie, świeżo, wesoło,
Tak piękne gaje i łąki,
Jak gdyby liście i płonki
Mistrz ze szmaragdów urobił
I cudny obraz ozdobił.
Więc do kamienia się chyli
I siada, ale w tej chwili
Czuje, że jakby wróciły
Do jego piersi te siły,
Kiedy w młodości swym młotem
Kruszył żelazo z łoskotem.
Ta zmiana nagła i błoga
Tak mu się dziwną wydała,
Że dusza jego nieśmiała,
Z trwogą się wzniosła do Boga;
A taka cisza w tej stronie,
Że słyszy tętno swych skroni,
I chociaż wielki gaj, błonie,
Ni jeden ptaszek nie dzwoni;
Ni chaty, człeka, komara—
On sam i tylko z nim—wiara.
Uczuł, że tutaj kraj świata,
Że podróż jego się kończy...
W tem spojrzał po swej opończy,

Patrzy — a na nim aż pała....
Szata, jak pierwszy śnieg biała..
Padł na kolana... w tem z góry
Lśniącemi przemknął w dal pióry
Biały gołąbek, aż ziemia
Od tego drgnęła zjawiska:
Widział, że Duch to rozplemia
Drzewa i trawy i życie,
Że z niego czystość rozbłyska
W piersiach i kwiatów rozkwicie!

IV.

Wstał i już lekkim szedł krokiem,
Jak liść niesiony potokiem
I jakby szat jego bieli
Dotknęli skrzydłem anieli.
— Tam kędy gęsta krzewina
Nad strumyk świeży liść zgina
A pod nią tryska krynica,
Tam była drogi granica.
Między opoki wsunięta
Stoi tuż furta zamknięta,
Lecz taka dziwna i Święta,
Że trzykroć kornem kolanem
Drżący dosięgał już proga
I trzykroć z Sercem zachwianem
Cofnął się—zdjęła go trwoga.
,,Po co tam prochu zuchwały,
W świat niepojętej ci chwały,
I po co stopa twa trąca
W państwo, gdzie nie ma dni, końca?"
Tak się starcowi myśl chwieje.
Lecz znów odzyskał nadzieję:
Z furty doń znany blask strzela,
Jaśnieje krzyż Zbawiciela.
Więc szeptał znowu: ,,To godło
Było mi lube, do niego
Szedłem i z pracą i modłą;
Więc gdzie się ono ukaże,
Tam dosiądz mogą nędzarze
I nie ma granic, ni końca,
Gdzie z nieba jakby pierś słońca,
Krzyż chłonie myśl i żądze."
— To rzekł i ufał i wierzył
I w furtę świętą uderzył....
Skrzypnęły ciężkie wzeciądze.

V.

Łagodny i uśmiechnięty
Wyszedł staruszek, Piotr Święty.
A chociaż błyszczy nad czołem
Światłość promiennych gwiazd kołem
I chociaż zdobi mu biodra
Szata tak czysta i modra
Jakby z tła nieba wycięta,
Jednakże postać przygięta
I rys jak bólu wspomnienie,
Tkwiąc tam zkąd tryska wejrzenie,
Tak go do starca zbliżały,
Jak gdyby nie miał tej chwały.
Snadź Bóg zostawił ślad w czole,
Kędy przemknęły niedole,
Gdy jeszcze ziemskim żył bytem
I to mu było zaszczytem
W wiecznem mieszkaniu światłości,
W mieszkaniu wiecznej radości!

Ufnie też starzec pomyka
Do niebieskiego klucznika,
Który łaskawie go wita
I tak kowala zapyta:
— ,,Czego chcesz duszo ze ziemi?
Czy mało zboża się plemi,
Tam kędy żyjesz wśród braci?
Czy zbrakło wody krynicznej;
Czy słońca w ziemi dziedzicznej;
Czy kto za pracę nie płaci?"
— ,,Jest ci to wszystko — ten rzecze,
Lecz biedne życie człowiecze:
Jam za ,,Bóg zapłać" pracował,
Alem już siły sfrasował
I młota ująć nie mogę,
Więc do Jezusa, do Pana,
Zwraca się dłoń spracowana
I prosi o zapomogę."
— ,,Gdy prosisz, będzie ci dano,
Każdy tu swoje ma wiano;
Nikt ci nie dawał zapłaty,
Teraz być możesz bogaty."
I tu Piotr Święty zszedł z proga,
A jasna jego twarz błoga
Jakby zaćmiła się w smutku.
I starzec wszedł pocichutku,
A tuż u raju podwoi
Za Piotrem Paweł też stoi.
Więc Piotr go o coś poprosi;
Ten poszedł; starzec przed siebie
Patrzy i patrzy po niebie...
W tem Paweł Święty przynosi
Złoto i kupki równemi
Kładzie dla starca na ziemi.
A starzec ciągle przed siebie
Patrzy i patrzy po niebie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Dalszy ciąg.—Patrz Nr. 42).

Dziewczyna tymczasem spoglądała na niego ukradkiem. Radaby w oczy, ale czemuż nie mogła trafić; to wzrok skierowała za nisko i zatrzymywał się na ogromnej spince złocistej — to się ośmieliła i wzniosła oczy wyżej, ale znowu zabardzo, tak, że tylko na muszelki na kapeluszu patrzyła.

Już bo toć tak bywa dziewczętom, że im czasem łatwiej patrzeć na słońce niż na chłopaka.

I ona także rozmyślała nad tem, że jej tak nie słuchają oczęta.

— Na innych patrzę prosto, jak pan Bóg przykazał—mówiła sobie,—a na tego jakoś nie mogę. Urzekł mnie chyba, albo co. Bo też on wcale nie taki jak inni: i ubiera się piękniej i ładniejszy, i obraca się z ludźmi nie tak;—inny zaraz przybiegnie i uszczypie albo w pół chwyci, a ten grzeczniejszy i inakszy. Przyszedł tu do nas z innych stron... dałabym szyję, że w jego stronach i łatwiejsze i lepsze są chłopcy.

Szli tak razem gromadką ku wsi. Antek półsłówkami mięszał się do rozmowy, ale do niej zwrócić się nie miał odwagi.

Czasami coś jakby mówiło do niego:

— A zagadaj-że do niej przecie.

Wtedy otwierał usta i chciał coś mówić, ale czy mu głosu brakowało, czy języka zapomniał, czy go dziewczyna niemocą urzekła—bo na otworzeniu ust się kończyło. Niekiedy tylko wyszło z nich proste i nic nieznaczące „a!” albo: „o!...”

Gromadka coraz się zmniejszała: ten albo ów odłączał się co chwila idąc w swoją stronę, niedługo i Antkowi miało wypaść się odłączyć i skierować ku zatraconej chacie gdzie znalazł gościnność u niezamożnego gazdy, a jeszcze nie mógł się zdecydować zagadać wprost do dziewczyny.

Aż mu się wstyd zrobiło wreszcie, że tak gęby otworzyć nie potrafił i nie mogąc się zdobyć na przemówienie do niej, odezwał się razem do wszystkich.

— Jakże tu pięknie w tych waszych Skalicach!... miłoby tu człeku pozostać.

— A to zostańcie—odezwała się na to dziewczyna.

Antek aż podskoczył z radości.

— Zostać mówicie, chcielibyście żebym tu został?...

— Albo tu mało — odpowiedziała kraśniejąc dziewczyna,—albo tu mało ziemi, powietrza i wody i chleba?... Znajdzie się i dla was jeśli pracować lubicie i swojego kąta nie macie.

Słowa te dla Antka były słodkie jak miód, a rumieniec dziewczyny jeszcze słodszy. Tylko w tym miodzie, jak to dość często bywa w miodzie, było i żądełko ukryte.

— Ot mi i zaraz powiedziała, że nie mam swojego kąta—pomyślał Antek i posmutniał,—mam ci ja na swe gospodarstwo dosyć, ale trzeba wypróbować dziewczynę, niech o tem nie wié nic. Zobaczę jaka będzie dla mnie.

Widząc że Antek milczy i smutnieje, dziewczynie żal się go zrobiło: nie miała wcale ochoty mu dokuczać, a to co mu powiedziała, było powiedziane tak sobie, żeby się wytłómaczyć przed ludźmi, że go namawia aby został.

— No cóż?... zostaniecie? — spytała spoglądając mu w oczy.

— Cóż mnie sierocie lepszego zrobić jak zostać—odrzekł Antek,—kiedy ludzie dach dać gotowi i kawał chleba za to, co dwie ręce zarobią.

— Więc wy sierota?—rzekła znowu dziewczyna, a w głosie jej było tyle współczucia, że aż Antkowi pogodniej się zrobiło w duszy.

— Sierota—odpowiedział Antek,—ale i sierocie weselej na świecie, kiedy go ludzie kochają....

Przypadek, czy coś bardzo podobnego do przypadku było przyczyną, że prowadząc tę rozmowę Antek z dziewczyną, dali się cokolwiek wyprzedzić innym góralom z któremi szli razem, pozostali więc sami nieco na ustroniu.

— O! to prawda—odpowiedziało dziewczę.

— A wy będziecie mnie kochali jak tu zostanę?— spytał Antek.

— Ksiądz proboszcz mówi, że trzeba kochać sieroty...—nieśmiało odpowiedziała Podhalanka.

— A gdybym tak nie był sierotą?

Dziewczyna pokraśniała jak wiśnia, lecz jej nie zbrakło odpowiedzi.

— Ksiądz proboszcz mówi, że trzeba kochać bliźnich—odrzekła.

— Jabym was tam daleko bardziej kochał jak bliźniego, gdybyście nie zważali żem biedny...

Podhalanka nie wiedziała co odpowiedzieć. Przyznać się że na biedę uważać nie będzie, byłoby to samo co powiedzieć otwarcie, że jej serce tej Niedzieli daleko mocniej pukało jak którejkolwiek innej—a nie przyznać się do tego i zbyt prędkie zaloty choć chwilowo odepchnąć, byłoby to samo co powiedzieć: nie chciałabym cię boś biedny.

Instynkt nasunął jej pośrednią drogę.

— I!... żartujecie—odrzekła,—musicie być z takiej okolicy, gdzie chłopcy mają zwyczaj wszystkim dziewczynom gadać takie rzeczy.

Ta odpowiedź była dostateczną dla Antka. Dziewczyna wysłuchała jego słów i nie uciekła od niego, chociaż jej powiedział że biedny. Gdyby był tego niepowiedział a ona nie uciekła, niby to jeszcze nie znaczyło, ale kiedy powiedział, to znaczyło wiele. Dziewczęta rzadko uciekają od miłych słówek nawet wtedy, gdy ten kto je prawi nie jest im tak bardzo po myśli, ale od biedy uciekają jak od ognia—kiedy więc nie uciekła, to dobry znak.

Tak sobie myślał Antek i szedł koło dziewczyny i milczał. Chciałby jeszcze dużo, dużo powiedzieć, tylko jakoś nie wiedział od czego zacząć. Wyminął drogę od zatraconej chaty i szedł dalej. Dziewczyna także milczała, aż się zbliżyli do jednej z najporządniejszej chat wioski, wtedy ukazała mu ją ręką i rzekła:

— Tu nasze domostwo.

— Już tutaj—smutnie rzekł Antek.

— A co chcielibyście żeby było dalej? uśmiechając się figlarnie spytała dziewczyna.

— Chciałbym żeby było na końcu świata...

— Patrzajcie!.. a no, ja bym wcale niechciała na końcu świata mieszkać... za cóżbyście mnie tam mieć chcieli?

— Bo bym tam poszedł z tobą, a szlibyśmy chyba przez całe życie.

— I nie zmordowalibyście się?

— O! nie! — z przekonaniem odpowiedział młody góral.

A dziewczyna uśmiechnęła się znowu i odrzekła swoje:

— I!... żartujecie.

Potem zlekka skinęła mu głową i chciała odejść mówiąc:

— Bądźcie zdrowi.

Antek zatrzymał ją za gunię.

— A powiedz-że mi, jak tobie na imię?

— Po cóż wam to?...

— Po co?.. będę sobie powtarzał... będę... no, będę wiedział i ot.

— A ja wiem jak wy się nazywacie?

— Ja się nazywam Antek Skałka, a ty?...

— Halka Kałatówna... no, ale puśćcie mnie już... pilno mi... bywajcie zdrowi.

— Bądź zdrowa Haluś.

Odszedł Antek dwa kroki, ale zwrócił się nagle jakby czegoś zapomniał, poskoczył ku dziewczynie, porwał ją za szyję, pocałował i raz i drugi i rzekł szybko:

— Będziesz miała korale, takie piękne jak jeszcze ludzie w całych Skalicach nie widzieli.

Potem, niby wstydząc się swej nagłej odwagi, puścił ją i jak strzała pobiegł ku zatraconej chacie, w której noc poprzednią przepędził.

VI.

Domostwo starego Kałata ojca Halki, było jak już powiedzieliśmy jedną z najpiękniejszych i najpokazańszych chat w całych Skalicach, której budowa jednak w niczem się nie różniła od tradycjonalnego planu wszystkich chat góralskich. Może ją tylko lepiej w zieloną szatę liści przystrajały sędziwe, stojące przed nią jesiony, może jej uroku dodawało malownicze położenie na lekko pochylonym stoku góry, zkąd widać było doskonale wszystkie domostwa długim pasem rozrzuconej wsi, może szyby w oknach świetlicy czyściejszym połyskiwały blaskiem jak gdzieindziej—ale zresztą chata była zupełnie tym samym postawiona trybem, co inne góralskie chaty.

Wnętrze jej także miało tę samą charakterystykę co gdzieindziej. Z sieni na prawo szło się do świetlicy, a na lewo do czarnej izby. W świetlicy zazwyczaj białą izbą nazywanej, podłoga, stół, ławy i pułki, mogły oddać najlepsze świadectwo pracowitości i zamiłowania porządku Halki, a wysoka piramida pierzyn i poduszek, mnóstwo obrazów świętych zawieszonych po nad niemi i aż dozbytku obfita kollekcja misek, miseczek, talerzy, garnuszków różnokolorowych, w liczbie których niepodobna było nie spostrzedz nawet całkowicie złoconych—świadczyło również o zamożności gazdy, który między swoimi wielkiego używał poważania.

Widząc tę izbę zawsze przybraną jak od święta, wyszorowaną i wymytą najstaranniej, ktoby nie znał w ogóle chat góralskich, zdziwiłby się nieprzyjemnie przechodząc na lewo od sieni do czarnej izby. Tutaj jak wszędzie na Podhalu, dym z komina umieszczonego w jednym z kątów musiał się naprzód dobrze nawałęsać po wszystkich innych kątach, zanim sobie drogę do drzwi odszukał i nim opuścił chatę tak zuchwale zaglądał w oczy jej mieszkańcom, że aż często na to jego natręctwo płakać musieli. Tym łzom codziennie wylewanym, towarzyszyłyby zapewne jakie charakterystyczne błogosławieństwa, tylko że je jeszcze przed wyjściem z ust przytłumiało krztuszenie się forsowne. Ściany tej izby były czarne, pokryte sadzą, mimo to przecież jak tylko wiatr dmuchnął, tak jak to on w górach dmuchać potrafi, wszyscy radzi się cisnęli do czarnej izby gdzie mogli znaleść ciepło, którem górskich mieszkańców tak rzadko szczerze skąpe dla nich słońce częstuje. (*d. c. n*).

JESIEŃ NA WSI.

Minęły upały letnie. Słońce coraz to słabsze rzuca promienie. Bladszy jest błękit Nieba. Powietrze już nieoddycha balsamiczną wonią kwiatów, lecz świeżość jego dodaje czerstwości i zdrowia. Opadły mgły ranne brylantowemi kroplami rosy, i pogoda jesienna zabłysła srebrnym swym blaskiem. Pójdźmy na tę dolinę, okoloną wzgórzami i porastającym na nich lasem. Jak miła zieloność okrywa niwy zasiane pszenicą i żytem; słusznie ich barwa zowie się barwą nadziei, bo też one są nadzieją rolnika. Jakże pięknie tym drzewom w jesiennym ich stroju; niby na pożegnanie przed snem zimowym, oblekły się w szaty godowe. Tu obok bledniejącej już brzozy, czerwieni się purpurowy liść klonu, żółcieją lipy i graby, a wszystko w najrozmaitszych i najpowabniejszych odcieniach: od świetnie czerwonej, szkarłatnej, pomarańczowej—do blado-żółtej i szarej barwy; maluje się i piętrzy z nieporównanym wdziękiem i smakiem, na zielonem jeszcze tle wyniosłych dębów. A ten widok różnobarwnych lasów, te umajone świeżą zielonością niwy, to Niebo blade lecz pogodne, ta uroczysta cisza w powietrzu i na ziemi—wprawiają umysł w równie ciche a rzewne dumanie, koją niejedną troskę, a duszę przejmują wdzięcznością i uwielbieniem dla Stwórcy, którego dziełem i wiosna uśmiechająca się nadzieją i obfita w plony jesień. Ale w lascah nierozlegają się pienia ptasząt; zaledwo kiedy niekiedy słychać świegotanie szczygła lub zięby i słaby pisk *kowalika* [1]) pełzającego po pniach spróchniałych. Tylko silne stukanie dzięcioła, wrzask krzykliwej sójki i grzechotanie zielonej żabki drzewnej—przerywają to głębokie milczenie. Niesłychać już śpiewu skowronka; jaskółki już odleciały; pociągnęły za niemi bociany i żórawie i inne ptaki wędrowne: za to myśliwy oczekuje przybycia *Słonek*, [2]) które w jesiennym przelocie, po zmroku przy świetle księżyca, są przedmiotem przyjemnych łowów. Łąki zielenią się jeszcze bujną *otawą* [3]), ale szrony jesienne i ręka kosarza, zdarły z nich kwieciste odzienie. Jeżeli chcemy znaleść jeszcze jakie kwiatki, zwiedźmy ten las i otaczające go zarośle. Tam krzaczyste wrzosy, o wązkich listkach i drobnem różowem kwieciu; astry leśne od złocistych środeczków, rozpuszczające niebieskie promienie i drobne fioletowe dzwonki; ciemno-szafirowe Gencyany [4]); różowe goryczki; [5]); czerwono purpurowe Geranie; mleczno-białe, o pargaminowych koronkach Parnassye; [6]); amarantowe gwoździki; białe i żółte srebrniki [7]); Skabiezy modre; lazurowe bławatki, drobne Weroniki; wielo-kwiatowe blado-żółte, wązko-liście Lnianki [8]); stokrocie polne; koniczyny różowe i żółte; nakoniec ubogie bratki—rozweselą wzrok nasz znużony widokiem zeschłych liści, opadających z żałośnym szelestem. Do tych kwiatków dodajmy koralowe jagody jarzębiny i ozdobny owoc trzmieliny [9]), a będzie bukiet skromny lecz piękny, godny zdobić ołtarz Boga-Rodzicy, w równie skromnym kościołku wiejskim.

A na *polanach* otoczonych zawsze zielonym, poważnym borem, brzmią jeszcze rzesze rozmaitych owadów. Szarańcze czerwone i modre [10]), unosząc się krótkim fruczącym lotem, błyszczą barwistemi jak wstęgi skrzydłami; dźwięk, który wabiąc się wydają, powstaje w skutek tarcia piłkowatych nóżek o twarde brzegi pokrzyw skrzydłowych. Zbliżmy się do tych dziurek tu i owdzie dających się widzieć, na ćwierć cala zaledwo szerokich: są to wejścia do mieszkania polnego świerszcza, bardzo podobnego do uprzykrzonych w domach gnieżdzących się świerszczów, tylko nierównie większy; przesiaduje zwykle blizko otworu swojej jamki, czatując na zdobycz. Aby go samego schwytać, wetknimy w otwór źdźbło słomy, a wyjdzie natychmiast, jakby dla zapytania o przyczynie napaści—wtenczas jeżeli mu zamkniemy odwrot, już świerszcz pojmany. Ztąd poszło łacińskie przysłowie: *Stultior gryllo* (głupszy od swierszcza; zastosowane do tych co byle za co się gniewają, a sami wpadają w łapki pierwszemu lepszemu). świerszcz chcąc wydać głos, trze mocno i prędko jedna o drugą pokrywę

---

[1]) *Kowalik* (Sitta Europaca), mały, stalowo-siwy ptaszek, wydłubuje z pod kory drzew liszki owadów, stukając zawzięcie dziobkiem.

[2]) *Słonka* (Scolopax rusticola), znajoma jest myśliwym jako wyborna zwierzyna.

[3]) *Otawą* nazywają trawę, po skoszeniu wyrastającą powtórnie w jesieni, która dostarcza bardzo delikatnego siana.

[4]) Gentinna cruciata; [5]) Erythrea centaurium; [6]) Parnassia pulustris. [7]) Potentica alba, anserina i recta; [8]) Linaria vulgaris;

[9]) *Trzmielina* (Evonymus verrucosus). Jagodki tej krzewiny po trzy skupione, miniowo-czerwone z czarnemi na wierzchu ziarnkami, otoczone u spodu różowemi przysadkami, obok blado-zielonych liści krzewu—nader piękne mają wejrzenie.

[10]) *Acridium Stridulum* i *coerulescens*. Są to gatunki niewinne, wcale różne od *Szarańczy wędrownej*, znajomej z klęsk które sprawia. Oba mają pokrywy skrzydeł szare, a znajdujące się pod niemi błoniaste skrzydła z czarnemi przepaskami, są u pierwszego na tle czerwonem, a u drugiego na modrem.

skrzydeł. Dla wygubienia świerszczów domowych i karaczanów, dość jest wpuścić do domu świerszcza polnego, a napewno je wyniszczy, a chociaż sam się rozgości, to póki się nierozmnoży z kolei łatwo go wygubić.

W stojącej a czystej wodzie napełniającej ten rozdół, wiodą ukryte życie rzadkich kształtów owady. Zapuśćmy siatkę, a poznamy je bliżej. Znaleźliśmy na ten raz trzy ich gatunki; wszystkie należą do rzędu *Półtęgo-pokrywych* (Hemiptera), z rodziny takich, których pokrywy skrzydeł są twarde przy nasadzie, a miękkie na końcu; wszystkie karmią się żywą zdobyczą i są uzbrojone trąbką krótką w kształcie zaostrzonego dziobka, którym niemiłosiernie kłują. Wyjmujmy je więc ostróżnie z siatki. Pierwszy z nich odznacza się żywością ruchów i zwyczajem pływania na grzbiecie; naturaliści zowią go *Notonecta* od wyrazów greckich: *notis*—grzbiet i *necto*—pływam; możemy go więc nazwać w naszym języku *Grzbietopływem;* tylne nóżki ma bardzo długie, przyodziane długiemi włoskami ułożonemi w kształcie chorągiewki, pióra której w pływaniu służą mu za wiosła; przednie jego nóżki są krótkie, a przeznaczeniem ich chwytać zdodycz. Owad ten długi prawie na pół cala, ma pokrywy skrzydeł brunatne lub sinawe; powleka je zawsze warstwa powietrza i dla tego w wodzie wydają się jak posrebrzane. Grzbietopływ trąc nóżkami o pokrywy skrzydeł, zgromadza koło nich na zapas otaczające powietrze w kształcie bańki i niem oddycha, skoro zielska wodne lub inne przeszkody niedozwalają mu wypłynąć nawierzch. Dwa inne owady dziwne mają kształty: niepływają lecz chodzą tylko po dnie wody, lub niekiedy podrzucają się w górę; to też aby mogły schwycić zdobycz, natura opatrzyła je długiemi, szczypczykowatemi nogami, za ich to pomocą, jak w kleszcze łapią słabsze od siebie owady wodne; jeden i drugi mają ciało zakończone dwoma długiemi, twardemi włoskami, które w połączeniu swojem tworzą wydrążoną wewnątrz rurkę, służącą do oddychania zewnętrznem powietrzem. Pierwszy z nich szeroki, płaski, szary niby listek zeschły, długi około cala, nielicząc wto ogonka, a zowie się *Niedźwiadkiem wodnym* (Nepacinerea); drugi przeciwnie ma ciało bardzo szczupłe, prawie walcowate na kształt źdźbła grubej słomy, przeszło na cal długie, żółtawo-szare i nazywa się *żubnicą równowązką* (Ranatra linearis). Przejdźmy teraz na pole odłogiem leżące: tam uwijają się skrzętne myszy i wesołe susły; w powietrzu unoszą się białe jak śnieg włókna *babiego lata* [1]), misterny wyrób pająków. W przyległym gaju zwinna wiewiórka, zbiera zapasy zimowe; *koszatka* [2]) rzadkie u nas a piękne zwierzątko wielkości myszy, w płowej odzieży z puszystym jak u wiewiórki ogonkiem, chciwie poszukuje orzechów, ale na zimę ich niezbiera, bo w letargicznem uśpieniu 7 miesięcy przepędza, więc zapasów niepotrzebuje. Na zapóźnionych kwiatkach bujają motylki; niewiele ich jednak widać i to z jednego gatunku *pokrzywnika* (Nanessa Urticae), który lata od pierwszych dni wiosny do najpoźniejszej jesieni. Dzierlatka [3]) świegocze, skowronek drzewny wdzięczniejszą piosnką rozwesela samotność gaju. *Krzyk* [4]) w zwinnym locie odzywa się beczącym głosem, od którego wieśniacy *barankiem* go zowią. Po nad drogami unoszą się stada trznadli. Sikory co raz to częściej zaglądają do zagród i sadów. Niemały ruch panuje w naturze i nie jedną jeszcze zdobycz moglibyśmy zrobić w państwie ptastwa i owadów. Lecz oto powiał wiatr burzliwy, z ponurym szumem otrząsa pożółkłe liście w gajach, a po obnażonych polach pędzi tumany kurzawy; zrywają się krzykliwe zgraje wron i kruków; z północy ciągną chmury, zapowiedające zimna i słoty. Powróćmy do domu póki Niebo posępne i smutny świst wiatru, nie zatrą przyjemnych wrazeń tej krótko-trwałej jesiennej pogody!

Gustaw Belke.

[1]) Pajęczynę tę wyrabiają pająki z gatunków: Aranea obstetrix, Lycosa saecata i Tetragnatha extensa. Ciekawy czytelnik znajdzie zajmujący artykuł o *Babiem lecie* w Przeglądzie rolniczym Warsz. z r. 1856 N. 34.

[2]) Koszatka czyli Potcha (Myoxus avellanarius).

[3]) Dzierlatka w niektórych okolicach Pośmieciuszką zwana (Alanda cristata), każdemu znajomy ptaszek; u nas zimuje. Skowronek drzewny (Anthus arboreus), dłużej gości od zwyczajnego skowronka—śpiewa przyjemnie.

[4]) *Krzyk* (Scolopax gallinaego), ptaszek z rodziny bekazów. Głos samca do beczenia koziego jest podobny, który wydaje w locie; bawi u nas do Października; mięso ma delikatne i smaczne.

DZIĘCIOŁ i CZŁOWIEK.

(Bajka)

— Czemu tak ciągle pukasz i pukasz zawzięcie?
Pytał się leniuch dzięcioła;
Tyle hałasu robisz do koła,
Że spać mi nie dasz natręcie?
— A czy to czas do spania—dzięcioł mu odrzecze,
Noc teraz przecie nie mała;
Przyszedłeś tu po drewka, to zbieraj człowiecze,
Gałązek liczba nie mała.
Tobie się zdaje, że jak ty próżnuję,
Że puste moje pukanie,
Ale mylisz się kochany panie,
Bo i ja także jak drudzy pracuję;
A jeślibym nie pukał dziobkiem mym co siły,
W krótce by gąsiennice te lasy stoczyły.

Człowiekowi się zdaje, że on li wśród pracy
Pędzi życie w czoła trudzie.—
A tu zwykle najwięksi wśród stworzeń próżniacy,
Są ludzie!
I gdy im przyjdzie w potrzebie
Szukać wzoru, by nabrać siły na mozoły,
Nie znajdują go wśród siebie,
Ale za przykład stawią: mrówki lub dzięcioły.

Władysław Bełza.

GROCH SZPARAGOWY.

Na tegorocznej Wystawie Rolniczej w Warszawie Bracia Bardett, Kotarski Jan, Barczyńska Magdalena i Willman Franciszek, zaszczytnie wystąpili z 82 odmianami jarzyn groszkowych, z pomiędzy których powszechną zwracał na siebie uwagę Groch szparagowy, którego podając wizerunek, chcemy bliżej określić jego przymioty.

Ojczyzną jego jest Sycylja. — Wydaje łodygę na łokieć wysokości, liście jego są koloru jasno-zielonego, kwiat ciemno — purpurowy bardzo piękny, nadający gruntowi na którym jest zasianym prześliczną postać. Młode jego zielone strączki, przygotowane w ten sam sposób jak szparagi, stanowią bardzo smaczne jedzenie, nadto można je używać zamiast sałaty; a z dojrzałych strączków przygotywywa się wyborna zupa i sosy. Ziarno dobre na pokarm dla ludzi, a za granicą tak łodyga jako i ziarno używane bywają na karm dla inwentarzy i z tego względu, roślinę tę zaliczają do rzędu pastewnych.

A. M.

ROZMAITOŚCI.

— **Chleb.** Któż nie wie jak ważną gra rolę chleb w życiu mieszkańca północny? Możemy wyobrazić sobie człowieka obchodzącego się bez mięsa, mleka i wszelkiej okrasy lub potraw zbytkownych, ale trudno nam pojąć jakbyśmy obejść się mogli bez chleba. Chleb stał się prawie nie-

zbędnym warunkiem naszego życia i zanosząc codzień do Przedwiecznego prośbę ,,o chleb powszedni", niekoniecznie o samym tylko chlebie figurycznym myślimy. Kmieć nasz otoczył go jakąś zabobonną świętością: rzucać chleb na ziemię, jest w pojęciu jego wielkim grzechem — upadły zaś, podejmuje z uszanowaniem, całuje z pokorą. W dawnych czasach kładziono go na grobach, co i dziś jeszcze w wielu miejscach w Dzień Zaduszny czynią. Chlebem i solą spotyka u ludu matka swą synowę; chlebem i solą spotykają słudzy nowego dziedzica, poddani monarchę. W Krakowie był dawniej zwyczaj, że pierwszy bochenek upieczony z nowego zboża, ofiarowano królowi. Chleb wreszcie przybrał u nas znaczenie majątku: ,,być na własnym chlebie", znaczy mieć swą chatę, swój dom; ,,nie mieć chleba", to być nędzarzem w najokropniejszem słowa tego znaczeniu. Początek sztuki robienia chleba, ginie w pomroce wieków. Pismo Święte wspomina, że u Hebrajczyków wypiekano go w kształcie pszaśnych placków. Z Azji sztuka przygotowania chleba przeszła do Greków, którzy bardzo ją udoskonalili i do Rzymian, którzy długo zamiast chleba używali ziarn rozmiękczonych prażeniem i gotowaniem i przerobionych następnie na rodzaj zacierki, zwanej *pulmentum*. Dopiero na 400 lat przed narodzeniem Chrystusa, poczęli wypiekać chleb i placki pszenne, które jednak na każdy raz wypiekano oddzielnie. Właściwy zaś chleb poczęto robić dopiero w dwieście pięćdziesiąt lat później, gdy Greccy piekarze osiedlili się w Rzymie; Gallowie jednak i Germani, wypiekali chleb kwaśny daleko dawniej jeszcze niż Rzymianie. Z Niemiec sztuka robienia chleba żytniego miała przejść do Polski, ale chyba w niezmiernie odległych czasach. U nas jak wiadomo, chleb robi się zwykle z mąki żytniej a czasem pszennej; gdzie indziej wszakże przyrządzają go z mąki jęczmiennej, owsianej lub ryżu. W wielkich miastach za granicą bardzo często się zdarza, że chleb fałszują, co nieraz szkodliwie oddziaływa na zdrowie. Najpospolitszy sposób fałszowania jest przez dodanie mączki kartoflanej lub ryżu. Dzisiaj wszakże skutkiem podrożenia obu tych produktów, nadużycie to stało się bardzo rzadkiem. W końcu dodamy, że *Prądnicki* chleb uchodzi u nas za najsmaczniejszy.



Groch szparagowy.

— Tumaki. Przechodząc pod filarami Warszawskiego Teatru, spotykaliście zapewne w sporej klatce dwa małe zwierzątka, z wielką żywością i zabawnemi skokami uwijające się po klatce. Zwierzątkami temi są wprost nasze kuny leśne, wielkie trapicielki drobnego ptastwa, jajek ptasich, miodu i owoców leśnych. Chodząc po lesie, rzadko z niemi spotkać się można; natura już to bowiem jest ich taka, iż w dzień śpią w dziuplach drzew, a w nocy wychodzą na łowy. Zwracaliście zapewne także uwagę na piękne futerko tych dwóch kunek; otóż to futro delikatne i puszyste, nazywa się *tumakiem* i jest jednem z najdroższych futer najwięcej przez kobiety noszonych, a odznacza się lekkością, ciepłotą i drogością. Zamorskich bowiem zwierząt futra, nie są tak drogie jak tumaki, gdyż potrzeba bardzo wiele skórek tumakowych na jeden błam pod salopę, a skórki te składają się prawie z samych grzbietów, gdyż brzuch i podgarle tych kun-tumaków, jest zwykle żółte wówczas gdy grzbiety więcej w kasztan wpadają. Odmianą kuny-tumaka jest kuna domowa czyli kamionka, przemieszkująca na strychach i w budowlach miejskich i wiejskich, a srodze nieraz czuć się dająca gołębiom i kurom. Futro atoli z niej z podgardlem białem, jest o wiele niższej ceny od tumaków.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.